ROZMAITOŚCI.

Dnia 24. Czerwca. № 25. Roku 1857.

CZŁOWIEK BEZ IMIENIA.

Opowiadanie

przez

Walerego Łozińskiego.

(Dokończenie.)

W samej rzeczy w znanym nam już saloniku hrabiny toczyła się żywa rozmowa, a głównym jej przedmiotem był znowu nasz staruszek siwowłosy.

Pan Kazimierz przechadzał się zakłopotany wielkiemi krokami tam i nazad po pokoju, mnąc jakiś stary wypłowiały papier w ręku, panna dusiła chustkę przy zapłakanych oczkach, a na twarzy hrabiny wybił się rumieniec jakiegoś niezwyczajnego rozdrażnienia.

— „Otoż słuchajcie“ — zawołał naraz hrabia, rozwijając z impetem trzymany w ręku zwitek papieru. — „Jestto ostatnia wola mego nieboszczyka ojca, testament z wszystkiemi znamionami legalności, a punkt trzynasty opiewa w nim dosłownie:

„*Item* postanawiam i pod ostatniem mojem przykaznję błogosławieństwem, iżby mój dawny pajuk a poźniejszy kredencerz G a b r y e l P a w ł o w s k i, który *anno 1784* w pewnym terminie niefortunnym *cum proprio periculo* salwował mi życie, i z wielkim zawsze był ku mnie affektem i wiernością nieposzlakowaną, w nagrodę tych zasług swoich znalazł do śmierci subsystencyę w moim domu, a w leciech podeszłych używał zachowania i gracyi, na jaką zasłużył....“

Przeczytawszy ustęp ten ojcowskiego testamentu, spojrzał p. Kazimierz z niemem zapytaniem na żonę i córkę.

Hrabina wzruszyła ramionami.

— „Ojciec twój“ — rzekła po chwili z żywością — „nie mógł przewidzieć tak dziwnego przypadku. W obecnym razie samby sobie nie umiał postąpić inaczej. Potrzeba było albo nie przyjąć oświadczenia, albo przygotować się naprzód do jakiegoś stanowczego kroku. Zięć i kredencerz nie mogą nosić jedno i tosamo nazwisko, jeśli nie chcesz aby cały świat powiedział, iż wydałeś jedyną córkę za kuzyna swego własnego lokaja.“

Pannę hrabiankę aż dreszcz przeszedł na samo podobieństwo podobnego przypuszczenia. Pan Kazimierz potarł ręką po głęboko zafrasowanem czole, i wyszepnął skonsternowany:

— „Szczera prawda! Nie obeszłoby się pewnie bez podobnych pogłosek. Wszakże teraz już mówią że p. Pawłowski jest baronem bardzo świeżej daty.... wielce podejrzanego klejnotu.... Nie wspomina o nim ani Niesiecki ani Paprocki....“

Panna Kamila przycisnęła silniej chustkę do oczu, hrabinę oblał żywszy jeszcze rumieniec.

— „Ależ na miłość boska“ — prawił p. Kazimierz dalej po krótkiej przerwie. — „Jakże tu znowu bez przyczyny odpędzać od siebie człowieka, który przeszło pięćdziesiąt lat strawił na naszych usługach, i dziś już nie zdolen pracy.... To niepodobna!... Potrzeba z nim naprzód pomówić i po dobremu nakłonić go do zmiany nazwiska.... a tylko w razie oporu można odważyć się na jakiś krok stanowczy.“

— „I owszem... wątpię jednak aby jakiekolwiek przedstawienie powiodło się przy osobliwszych uprzedzeniach zdziecinniałego starca“ — odrzekła hrabina.

Pan Kazimierz zaczął na nowo szybkim krokiem przechadzać się po pokoju, a ułożywszy w głowie cały plan przyszłej dyplomatycznej rozmowy, pociągnął za dzwonek.

W kilka chwil stawił się kredencerz na zawołanie.

Na pierwszy rzut oka odgadł sędziwy staruszek niezwyczajne usposobienie swojego państwa, i mimowoli ścisnęło mu się serce, jakgdyby go jakieś niemiłe dotknęło przeczucie.

Hrabia uciekł się naprzód do tabakiery, potem przybrał postawę pełną uroczystej powagi, i spuszczając nieco ku ziemi oczy, ozwał się z lekkiem jąkaniem:

— „Mój kochany Paw.. Pa..... powiedz mi też jak się nazywasz właściwie?“...

— „Jak się nazywam?“ — powtórzył stary kredencerz zagapiony. — „Toć niewiadomo jwnemu panu, iż odkąd gwoli jemu wyrzekłem się chrzestnego imienia, zwę się tylko po ojcowskiem nazwisku Pawłowski?..“

Panna Kamila zakryła całą twarzyczkę w zmoczonej chustce, p. Kazimierz potarł ręką po czole, chrząknął i znowu z trzaskiem zażył tabaki.

— „Pa... Pawłowski, mówisz“ — wycedził po chwili.

— „A jużciż, Pawłowski, jwny panie“ — odparł staruszek w coraz większe wpadając osłupienie.

— „Ej czy się tylko nie mylisz mój przyjacielu; mnie się coś roi, że dawniej zwałeś się Pawlewiczem“ — wybąknął znowu hrabia.

— „Broń Chryste panie“ — zawołał starzec i w tył cofnął się z przerażenia. — „Ani mi się nie prześniło nigdy podobne nazwisko. Pawłowski zwał się mój ojciec, dziad i pradziad, Pawłowskim zwę się i ja, odkąd obaczyłem światło dzienne, odkąd oddycham na świecie, a toć już przecie siedmdziesiąt lat z okładem.“

— „Hm, mój kochany, mówiąc między nami, wolałbym abyś mimo to nazywał się Pawlewiczem, Pawelskim, Pawlińskim lub w jakikolwiek inny sposób, byle tylko nie Pawłowskim.“

— „Byle tylko nie Pawłowskim!“ — wykrzyknął stary kredencerz, nie posiadając się z osłupienia. — „Alboż to może imię niepoczciwe, może przyniosłem mu jaką zakałę?...“

— „Nie mówię tego mój przyjacielu.... wszakże zachodzą tu pewne inne względy.... które spodziewam się sam łatwo zrozumiesz i ocenisz....“

Biedny starzec stał na pół nieprzytomny przy drzwiach. Dziwne postępowanie hrabiego wydało mu się jakąś osobliwszą zagadką, pełną złowrogiego znaczenia. Jakieś przykre przeczucie rozkołysało mu serce do żywszego ruchu, a razporaz musiał ocierać zlaną potem łysinę.

Pan Kazimierz spostrzegał trwożliwe pomieszanie starego sługi, i przykro jakoś zrobiło mu się w głębi piersi. Zażył na nowo tabaki, przeszedł się po pokoju od końca do końca, i spojrzawszy na żonę i córkę, zatrzymał się o kilka kroków od starca, i rzekł po krótkiej chwili namysłu:

— „Wyobraź sobie, mój kochany, że wczoraj przyjąłem oświadczenie o rękę mej córki, a nieszczęśliwym trafem przyszły zięć mój nazywa się baron Alexander Pawłowski....“

— „Pawłowski!“ — wykrzyknął starzec przerażony i zadrżał na całem ciele. W tej chwili zaczęło mu się cokolwiek wyjaśniać w głowie, a to wyjaśnienie niewymownym przejmowało go przestrachem.

Pan Kazimierz musiał oczy spuścić na dół, aby nie patrzyć się na przerażenie starca, i dopiero po chwili zdołał dokończyć zaczętą przemowę:

— „Zechcesz tedy pojąć, iż jeśli nie można już było dopuścić, abyś nosił tosamo imię chrzestne co moja synowa, toć istnem byłoby niepodobieństwem, abyś pozostał przy temsamem nazwisku co mój zięć przyszły. Mniejsza już o rozmaite z tego powodu nieporozumienia i zawikłania, ale złe języki gotowe wymyślić między wami jakiś rodzaj pokrewieństwa, coby temsamem rzuciło cień na imię i godność mego zięcia, i mnie i moją córkę okryło śmiesznością przed światem....“

Tu zamilkł hrabia, i oczy spuścił ku ziemi. Przestrach i niepokój, malujący się na twarzy starca, nie dozwalał mu jednym ciągiem dokończyć zaczętej przemowy.

Dopiero po niejakiej chwili milczenia, zarówno nieprzyjemnego dla staruszka jak i dla niego samego, ozwał się na nowo z dawnem wahaniem w głosie:

— „Owoż konieckońcem ze względu na te wszystkie okoliczności musisz bądźcobądź wyrzec się twego dzisiejszego nazwiska....“

Starzec odskoczył w tył jak oparzony.

— „Przenigdy! Za nic w świecie!“ — zawołał przelękniony. — „Toć w pięćdziesięcioletniej służbie miałbym tego jeszcze dosłużyć się u jwnego pana, iżbym jak ostatni nędzarz na ziemi, bez imienia i nazwiska błąkał się na starość?“

— „Dlaczegoż bez imienia i nazwiska?“ — przerwał hrabia z przymuszonym spokojem. — „Możesz przybrać i jedno i drugie tylko nieco odmienniejsze od dzisiejszego.“

— „Uchowaj mię Boże od tego!“ — wykrzyknął starzec z jeszcze większem przerażeniem. — „Nie mogłem zmienić dawnego imienia chrzestnego, lękając się obrazić mojego świętego patrona: dziś nie mogę zmienić nazwiska, bo wyrządziłbym krzywdę pamięci ojca nieboszczyka, bo zaparłbym się tymsposobem całego mego życia upłynionego,

a to życie choć może nie bez grzechu i winy ale zawsze czyste i nieposzlakowane....“

— „Dziecinnyś, mój przyjacielu“ — przerwał hrabia coraz bardziej zakłopotany. — „Nowe nazwisko przybierzesz tylko dla pozoru, dla formy, dla świata, wobec Boga, wobec własnego sumienia pozostaniesz zawsze tymsamym człowiekiem, synem tegosamego ojca....“

Podobna logika nie rymowała bynajmniej z prostodusznemi wyobrażeniami starego kredencerza. Zapatrywał się on na rzecz tę z wcale odmiennej strony, sądził o niej z swego własnego sposobu widzenia, wszystko też w zupełnie innem objawiało mu się świetle.

Być może że w przekonaniach jego było wiele nieprawdy, wiele uprzedzenia, a może nawet i cokolwiek niedorzeczności, ależ za to przebijało się w nich dwójnasób więcej poczciwości i jakiejś prostodusznej dziecięcej naiwności, która i dziwiła i rozrzewniała zarazem. Jemu się zdawało że imię, to nie prosta czapka, która do tej i do owej przylgnie głowy, którą z postępem wieku, z zmianą mody można zmienić według upodobania, przefrymarczyć na pierwszym lepszym targu, lub przekroić, przenicować na nową formę.

W niepretensyonalnych wyobrażeniach starego kredencerza miało imię o wiele wyższe i szlachetniejsze znaczenie. Poczytywał on je za jakąś żywotną a nierozdzielną cząstkę swojej istoty, dopatrywał w samem jego brzmieniu jakiejś głębszej myśli ukrytej, uważał je niejako za kartę legitymacyjną w tej ziemskiej wędrówce, a łączył z jego pojęciem jeszcze wiele innych mniejwięcej zwyczajnych uprzedzeń i przesądów.

To też z największem oburzeniem, z najdobitniejszą stanowczością odepchnął od siebie samą myśl zmiany nazwiska, a snadniej byłby potrafił wytłumaczyć i uniewinnić sobie samobójstwo niż podobny świętokracki jak mniemał postępek.

Logiczne argumenta pana Kazimierza odbiły się jak groch od ściany od jego przesądnych przekroczeń, wyssanych z mlekiem matki a skamieniałych z wiekiem podeszłym.

— „O nie, nie, jwny panie!“ — zawołał z mocą i stanowczością — „za żadne skarby świata nie zmienię ojcowskiego imienia. Przybierając nazwę nową, musiałbym zdeptać, znieważyć wszystkie wspomnienia lat minionych, musiałbym zaprzeć się swego własnego sumienia i rozpoczynać żywot zupełnie nowy! A możnaż ważyć się podobnego kroku w siedmdziesiątym piątym roku życia?“

— „Pleciesz od rzeczy, mój przyjacielu“— ozwał się hrabia, chcąc nowemi przedstawieniami umitygować oburzenie staruszka.

Ale kredencerz uniosł się żywością niezwyczajną; niezważając nawet na przerwę hrabiego, prawił dalej z coraz większym zapałem:

— „Porzucając moje własne imię poczciwe i nieposzlakowane przed Bogiem i ludźmi, miałbym chwytać za pierwsze lepsze cudze nazwisko, co może niejednem już splamione występkiem, niejedną obciążone klątwą, przyprawiłoby mię na starość o cześć i zachowanie u świata, o zgubę i potępienie u Boga!? Imię człowieka to jego sumienie drugie, a możnaż na miłość boską mieniać się z kim innym na sumienie?!“

Starzec mówił to wszystko z takim zapałem, taką żywością, takiem przeświadczeniem głębokiem, taką stanowczością niezbitą, iż biedny pan Kazimierz zwątpił zupełnie, aby wymową swoją potrafił wywrócić jego przekonanie i przełamać zawzięty upor.

Wyrzekł się już nieborak wszelkich dalszych rozumowań, i nabrawszy niezwykłej energii z spojrzenia zniecierpliwionej żony, rzekł po chwili stanowczo:

— „Trudna rada, mój drogi, zmiana nazwiska z twojej strony jest tu koniecznością niezbędną. Nie mam ochoty dla twoich uprzedzeń niedorzecznych narażać się na obmowę całego sąsiedztwa. Z bolem serca musiałbym w takim razie wyrzec się twoich usług dalszych. W moim domu może się pomieścić tylko jeden Pawłowski, a tym jest zięć mój przyszły. Do jutra pozostawiam ci czas do namysłu, a jeśli nie usłuchasz mojej prośby, będziemy musieli pożegnać się na zawsze. Zasłużony kapitalik wystarczy ci do życia gdziekolwiek indziej.“

Słowa te przeszyły starca na wskroś okrutnym bolem. Zachwiał się nagle na nogach, że aż musiał oprzeć się o ścianę, oczy zdawała się osłaniać jakaś gęsta ciemna mgła.

Chwilkę stał jeszcze w pokoju nawpół nieprzytomny, i łzy puściły mu się gorącym strumieniem po obudwu policzkach.

— „Odprawiony! odprawiony na starość zgrzybiałą!“ — mruknął głosem bez wyrazu i dźwięku, wychodząc chwiejnym krokiem z saloniku.

I z srogą boleścią w sercu wybiegł starzec na ganek, i przez gęstą mgłę łez rzucił okiem dokoła.

*

Rozłożyste lipy przed gankiem zaszemrały zcicha swym liściem obfitym, jakgdyby chciały zawtórzyć smutkowi staruszka. On przecież trzy większe części swego długiego żywota spędził z niemi razem, on przerósł sercem do tego miejsca jak one korzeniami.

Każde drzewo, każda gałązka, każdy listek były mu tak dobrze znane, stanowiły tak znaczną cząstkę tego wszystkiego, co gorąco ukochał w starzeliskim dworze. Dziś spozierał na nie okiem pożegnania, i serce ścisnęło mu się z bólu.

A to państwo niewdzięczne, co tak zimno odpychali go od siebie! jakże on ich kochał, z jaką rozkoszą byłby przy lada okazyi poświęcił dla nich zdrowie i życie.

Wszakcito sam p. Kazimierz przy nim urodził się w Starzeliskach, w jego oczach rósł w młodzieńca i męża, on go jako małego Kazia przywoził na wakacye z konwiktu oo. Teatynów ze Lwowa: a jakże był szczęśliwy kiedy jaką nową wymyślił dla panicza rozrywkę, kiedy sprawił mu jakąś niespodziankę radośną, jak wielkiej też poźniej oddawał się uciesze, gdy p. Kazimierz pojmował żonę, gdy go p. Bóg pobłogosławił synem i córką!

Dziś wszystko to przypominał sobie starzec nie jako wyrzuty niewdzięczności hrabiego, lecz jako chwile jakiegoś szczęścia minionego, które go podwójną siłą wiązały do tych murów, do tych osób umiłowanych.

Porzucać na zawsze miejsce gdzie przez wiek cały tyle przeżył, przekochał, przebolał — byłoto ciosem zanadto okrutnym na słabe siły starca.

Przypomniał sobie że wszystko to dałoby się jeszcze zażegnać, byle tylko wyrzekł się swojego nazwiska. I nagle sroższej jeszcze zasępiły się jego lica.

W jego sercu zawrzała naraz dziwna i gwałtowna walka. Zaczął powoli przypominać sobie słowa p. Kazimierza i zastanawiać się głębiej nad ich znaczeniem. Wśród takich rozmyślań, puścił się dalej w głąb lipowego szpaleru ku ogrodowi, i przebierając rękami od chwili do chwili, wpadł nareście w półgłośny monolog:

— „Rzeczywiście hrabia ma słuszność.... świat różnieby sobie tłumaczył wspólność imion między sługą i panem, a wszystko to sprawiałoby wielką przykrość państwu, a szczególniej młodej parze. I całej tej przykrości byłbym ja tylko przyczyną..... Czyż mogę jednak wyzuć się z imienia i nazwiska, pozostać zupełnie bezimiennym na świecie?.... Toć stan taki byłby gorszy niż śmierć sama.... o, gorszy nieporównanie gorszy.... Lecz niepowinienże poczciwy i wierny sługa poświęcić się dla szczęścia i spokoju swojego państwa?“ — ozwało się naraz szlachetne w nim serce.

Biedny starzec nie miał ani dzieci ani krewnych, państwo umiłowane było całą jego rodziną na ziemi, to też przywiązał się do nich całą duszą, całem sercem, lecz niemniej goraco kochał i cenił swoje imię poczciwe. Było ono przecież jego dumą jedyną, jego skarbem najdroższym.

Coraz też żywsza, coraz sroższa walka wrzała w jego głowie i sercu. Przywiązanie do państwa i przywiązanie do imienia stanęły nieprzyjaźnie naprzeciw sobie. Jedno potrzeba było poświęcić dla drugiego...

Długo się wahał nieszczęśliwy staruszek, a obadwa nieprzyjaźne uczucia i pojęcia coraz gwałtowniej, coraz zawzięciej ścierały sie z soba.

A wśród tej dziwnej walki nie czuł i nie poznawał biedny kredencerz, że pod jego łysą czaszką jakiś osobliwszy rodzi się nieład. Myśli zaczęły się plątać w jakiś kłębek nierozgmatwany, zmysły zamglały się corazto bardziej.

Nagle wstrząsł sobą starzec, a w tej chwili zdało mu się że jego nazwisko uosobiło się w jakąś postać dziwaczną, skrzydlatą, mglistą, i chwiejąc się przez chwilkę w powietrzu, z głośnym jękiem uleciało potem ku obłokom.

— „Moje imię! moje ostatnie imię!“ — krzyknął starzec rozdzierającym głosem, wyciągając ręce ku niebu, i na chwilę wpadł w jakieś okropne, bezprzytomne otrętwienie.

Ocknąwszy się ujrzał już wszystko dokoła siebie w zupełnie innem świetle, a w całej swej istocie uczuł jakąś próżnię, jakiś niedostatek osobliwszy.

— „Straciłem moje nazwisko“ — wyszepnął z głuchym i bolesnym jękiem. — „Jestem już zupełnie bezimiennym!“

Nieszczęśliwy postradał rozum....

I od tejto chwili zaczął stary kredencerz włóczyć się po całej okolicy, zwidzać wszystkie odpusty i jarmarki w pobliżu. Wszędzie żebrał u ludzi litości, i szukał nowego imienia.

Daremnemi były wszystkie poźniejsze starania hrabiego, aby w jakikolwiek sposób powrócić zmysły nieszczęśliwemu. Dziesięć lat przetrwał on w swoim smutnym stanie, i nieinaczej byłby zapewne poszedł do grobu,

gdyby nie pewien szczęśliwy pomysł księdza proboszcza z pobliskiego miasteczka.

Dowiedział on się przypadkowo, że stary kredencerz strawiwszy młodość w burzliwych czasach wojen i zamieszek w kraju, nie przyjmował nigdy ś. sakramentu bierzmowania, i toż właśnie podało mu plan do uleczenia nieszczęśliwego.

Właśnie bo przypadała zwyczajna pora bierzmowania, a do parafii miał zjechać biskup we własnej osobie.

Z nastroju proboszcza zaczęto ze wszystkich stron wmawiać w obłąkanego starca, iż dostojny pasterz posłyszawszy o jego losie nieszczęśliwym, przybywa sam w te strony, aby mu udzielić uroczyście nowego imienia.

Z początku nie chciał wierzyć starzec, słysząc jednak zewsząd potwierdzenie tej dziwnej wieści, uległ nakoniec ułudzie.

Miotany najżywszemi uczuciami, stawił się też w oznaczony dzień do kościoła parafijalnego, i stanął w ukazanem mu przez proboszcza miejscu.

Biedak nie chciał własnym wierzyć oczom, gdy nagle z wielką pompą ukazał się biskup w kościele, i po dopełnieniu niezbędnych ceremonij poprzednich zbliżył się ku niemu.

Starzec drżał jak listek, kolana się pod nim chwiały, w oczach się ciemniło, a gdy wreście biskup odmówiwszy zwyczajną modlitwę, uroczystym i donośnym głosem przyłożył mu imię Józef, wydał obłąkany głośny wykrzyk szczęścia i radości, i padł bez zmysłów na ziemię.

Gdy go ocucono napowrot do życia, promieniła twarz cała nadziemską radością, oczy przybrały wyraz spokoju i zupełnej przytomności.

— „Mam imię, mam imię!“ — wołał razporaz, nie posiadając się od szczęścia.

Niedługo wszakże miał biedny starzec cieszyć się odzyskaniem rozumu i nowem imieniem.

Nagłe wzruszenie radośne zatrzęsło całem jego organizmem, i powaliło go niebawem na łoże śmiertelne.

Zakończył życie zaraz w trzecim dniu po odzyskaniu rozumu, lecz umarł spokojnie, wesoło, przytomnie, śmiercią sprawiedliwych: a co nadewszystko, umarł — z imieniem.

JENERAŁA GORDONA PAMIĘTNIK
o pobycie w Polsce od r. 1651 do r. 1661,

przez

W. Łoz.

(Ciąg dalszy.)

X.
Przygody w marszu.

— „O, nie wyrzucicie; nie lękam się tego bynajmniej“ — odrzekłem — „bo mam zarówno głowę na karku, a moi ludzie broń przy boku i silne pięści.“

Przecławski uniosł się srogim gniewem na moją odpowiedź, a ponowiwszy swoje groźby poprzednie, popędził cwałem do dworu. Byłem podówczas zanadto jakoś pewny siebie; lekceważąc też grożące niebezpieczeństwo, rozłożyłem po wsi moich żołnierzy, a sam zająłem kwaterę w oficynach dworskich, nie zatrzymując przy sobie jak tylko ośmiu zbrojnych.

Tym razem jednak zawiodła mię zbytnia ufność w sobie.

Nie miałem jeszcze czasu ułożyć się do spoczynku, gdy nagle przeraziła mię ogłuszająca wrzawa pod oknami.

Pochwyciwszy na prędce pistolety, wyleciałem na dwór i ujrzałem się w niebezpieczeństwie niemałem.

Dziedzic dworu i Krupka Przecławski otoczyli mię dokoła, mając pod sobą 30 do 40 od stóp do głowy uzbrojonych hajduków, przywołanych z Pińczowa, 20 do 30 sług dworskich z strzelbami, pałaszami i dzidami, i do trzystu chłopów z kosami i siekierami.

Poznałem od razu, że wszelka obrona nie przydałaby się na nic, a powiększyłaby tylko zawziętość przeciwników, postanowiłem też w tak przykrem położeniu uciec się do fortelu.

Kryjąc pistolety pod moją kurtką, poskoczyłem wprost ku dziedzicowi, który nie domyślając się żadnego niebezpieczeństwa, z szyderczym śmiechem pozwolił mi zbliżyć się do siebie.

Wtedy nagle dobyłem pistolet ukryty, i przykładając go prawie do samych piersi dziedzica, zawołałem, iż jeśli każe dać ognia swoim hajdukom, natychmiast trupem go powalę.

Zaskoczony tak niespodziewanie szlachcic, stanął jak wryty w ziemię, nie wiedząc sam

co ma począć, bo na pierwszy ruch z jego strony groziłem dać ognia.

— „Spuść waść pistolet!“ — krzyknął po chwili — „bo każę cię rozsiekać na drobne kawałki.“

— „Nie spuszczę dopóki mi waszmość nie zaręczysz honorem, iż pozwolisz mi odejść ztąd bez wszelkich nieprzyjemności“ — odpowiedziałem, pozostając w mojej postawie.

— „Aha!“ — zawołał szlachcic szyderczo — „toć teraz sam o to prosisz o co cię niedawno proszono.“

A po chwili dodał:

— „Nie ujdzie to waści tak płazem lekceważyć sobie moją wolę.“

Odpowiedziałem iż jeśli cokolwiek tylko nieprzyjaźnego podejmą przeciw mnie, on lub jego ludzie, powalę go trupem u nóg moich.

— „A cożby się wtedy z tobą samym stało?“ — zapytał szlachcic.

— „Mniejsza o to“ — odrzekłem. — „Jestem już na wszystko przygotowanym. Teraz albo puść mię waszmość swobodnie w dalszą podróż, albo pożegnasz się ze światem.“

Szlachcic opierał się jeszcze kilka chwil, miarkując jednak z całego mojego zachowania, iż gotów jestem dotrzymać słowa, zezwolił wreście na moje żądanie, i przyrzekł mi nawet dać przewodnika do pierwszej wsi pobliskiej.

Otrzymawszy od niego na to wszystko szlacheckie słowo honoru, spuściłem pistolet, i zażądałem aby cofnął się do dworu z swoją bandą, i pozwolił mi bez przeszkody zebrać rozrzuconą po wsi kompanię.

Nie było tego potrzeba, bo żołnierze posłyszawszy o napadzie na moją kwaterę, zebrali się na prędce, i z bronią w ręku spieszyli ku mojej odsieczy.

Widząc jednak o wiele przeważniejsze siły przeciwników, musieli zgodzić się na bezzwłoczne opuszczenie Michałowa.

Krupka Przecławski naigrawał się z mego poprzedniego uporu, i różnemi cierpkiemi przymówkami chciał zniewolić mię do pojedynku.

Lecz do tego nie miałem wcale ochoty, bo pragnąc doprowadzić sam moją kompanię na przeznaczone leże, nie chciałem narażać się bez potrzeby.

Odchodząc zawołałem tylko, aby wtedy nie zaparł się swojego dzisiejszego postępowania, kiedy stanie przed obliczem Lubomirskiego, naszego dowódzcy wspólnego.

Z Michałowa udałem się do Tarnowa, gdzie zaopatrzywszy się w strzelby i amunicyę, po dwugodzinnym wypoczynku wyruszyłem w dalszą podróż do Starego Sącza.

Spodziewając się znaleźć tam nareście stałą kwaterę aż do przyszłej kampanii, nie troszczyłem się tak bardzo o zapas żywności, i nie nazbyt też przyspieszałem marszu.

Lecz któż sobie wyobrazi moje zmartwienie, gdy stanąwszy wreście na miejscu, ujrzałem przeznaczone mi leże zajęte od kilku tygodni przez hussaryę wielkiego hetmana Potockiego.

Sam nie wiedziałem co począć w tak przykrem położeniu. Po tak długim i dalekim marszu, po tylu trudach i przygodach znalazłem się nagle zupełnie bez przytułku, nie mogąc umieścić się w naznaczonych mi kwaterach, a nie mając upoważnienia szukać ich gdziekolwiek indziej.

W pierwszym momencie nie pozostawała żadna inna rada jak wysłać w skok gońca do Lubomirskiego, z zawiadomieniem o tem co się stało, i z prośbą o wyznaczenie mi nowego stanowiska. Tymczasem zaś postanowiłem przechodzić się z miejsca na miejsce, i niejako w marszu ustawicznym oczekiwać odpowiedzi hetmana.

W Nowym Sączu kazałem sobie dać świadectwo, iż przyszedłszy do Starego Sącza, nie zastałem przeznaczonych dla siebie leż zimowych, i musiałem opuścić miasteczko jeszcze tegosamego dnia.

Z takiem świadectwem w kieszeni puściłem się bez celu w głąb kraju, i włócząc się od wsi do wsi po całej okolicy, czekałem z upragnieniem dalszych rozkazów Lubomirskiego.

Mimo tylu w marszu doznanych przeszkód i nieprzyjemności, miałem już czas wyćwiczyć i uformować moją kompanię na wcale przyzwoitą stopę. Liczyła ona do stu regularnego żołnierza i kilkunastu zbrojnych ciur. Przykładając wielką staranność na utrzymanie karności i porządku w szeregach, nie dopuszczałem najmniejszej niesforności żołnierzy w pochodzie. Za to też sam nieco śmielej już występowałem z moimi żądaniami w pojedyńczych wsiach i miasteczkach, bo nie potrzebowałem się już lękać gniewu lada pierwszego lepszego szlachcica jak np. w Michałowie.

Nie mogąc się w ciągu ustawicznych marszów tam i nazad doczekać upragnionej odpowiedzi Lubomirskiego, wysłałem do niego jeszcze drugiego gońca, a sam zostawiając dowództwo w ręku porucznika, pojechałem do Krakowa, aby zakupić zapas amunicyi dla zwiększonej kompanii.

W Krakowie zastałem wielu dawnych znajomych, mianowicie jednego z moich najszczerszych przyjaciół szkockich Johna Holsten. Spędziwszy przyjemnie kilka dni w ich kole wracałem do mojej drużyny, a po drodze umyśliłem jeszcze wstąpić do Dąbrowy, gdzie mieszkała p. hetmanowa polna.

Mniemałem że otrzymam od niej pozwolenie pozostać tak długo w jej dobrach, aż dopóki nie nadejdzie odpowiedź hetmana. Wszakże p. Lubomirska wahała się postąpić sobie samowolnie w tym względzie, i kazała mi już czekać cierpliwie dalszego rozporządzenia męża.

Nie odniosłszy żadnego skutku z kilkudniowej wycieczki do Dąbrowy, złączyłem się napowrot z moją kompanią. Zastałem ją w nocy w pewnej wielkiej wsi za Tarnowem zupełnie pod bronią i z zapalonemi luntami w ręku.

Zapytałem zdziwiony o przyczynę tak grożnych środków bezpieczeństwa.

Odpowiedziano mi iż szlachcic tamtejszy, zagroził zbrojną siłą wyrugować ich z swoich posiadłości.

Spodziewając się podobnej przygody jak w Michałowie, chciałem tym razem z większą wystąpić energią, i oprzeć się z bronią w ręku choćby i dwujnasób liczniejszym siłom.

Naprzód jednak wysłałem jednego z żołnierzy do szlachcica, upominając go na jakie naraża się niebezpieczeństwo, dopuszczając się gwałtu na oddziale wojsk hetmańskich, które bez wszelkich wybryków i niesforności przechodzi na miejsce swego powołania. Kazałem mu również oświadczyć, iż nie ulęknę się bynajmniej jego pogróżek, i gotów jestem na wszystko.

Miasto spodziewanych grożb i przechwałek odpowiedział mi szlachcic jaknajgrzeczniej, iż nie myśli o żadnym napadzie, i z żadnemi nie odzywał się grożbami.

Przyczyną nieporozumienia z moimi żołnierzami stał się tylko jakiś swar z jego służbą, za który on nie może bynajmniej odpowiadać.

Łagodna ta odpowiedź nie zażegnała jednak ze wszystkiem moich podejrzeń, owszem dopatrywałem w niej tylko przebiegłego fortelu, którym szlachcic chciał uspić moją czujność, aby tem łatwiej dokonać zamierzonego zamachu. Atoli zaraz nazajutrz przekonałem się o zupełnej bezzasadności moich obaw i podejrzeń.

Szlachcic zaprosił mię do siebie na obiad, dostarczył hojnie żywności dla całej kompanii, i okazał się we wszystkiem człowiekiem prawym, gościnnym i godnym najwyższego szacunku.

Pragnąc nagrodzić sobie noc bezpotrzebnie z bronią w ręku przeczuwaną, pozostałem aż do trzeciego dnia na miejscu. Potem zaś wyruszyłem ku Podgórzu, a po kilkudniowych marszach w okolicy, zawitałem na nowo do Tarnowa.

Sprzykrzyły mi się do najwyższego stopnia te ustawiczne przechody bez celu, i pragnąłem choć na tydzień użyć wczasu w jednem miejscu. Trudno jednak było sobie poradzić.

Wysłałem znowu gońca do p. Lubomirskiej, zaklinając ją aby mi pozwoliła czekać na dyspozycyę hetmana w któremkolwiek z jego starostw okolicznych. Przyrzekałem że utrzymam kompanię moją w jaknajsurowszym rygorze, i będę opędzał się tylko z potrzeb najniezbędniejszych.

Lecz i tym razem nie odniosłem pożądanego skutku. Kobierski i Kułakowski pierwsi oficyaliści przy boku p. hetmanowej, odpowiedzieli mi bardzo uprzejmym ale stanowczym listem, iż bez poprzedniego upoważnienia samego pana nie mogą w żaden sposób zezwolić na moje żądanie.

Potrzeba się więc było tułać dalej od wsi do wsi, i nietylko co chwila z jakąś nową łamać się trudnością, ale zwalczać także wzrastającą niechęć i niezadowolenie żołnierzy, nużonych ustawicznym marszem bezpotrzebnym.

Włócząc się wzdłuż i wszerz po całej okolicy, udawałem wszędzie przed szlachtą i burmistrzami miasteczek, iż spieszę do armii na nagły rozkaz hetmana.

Tymczasem jak na złość opożniała się odpowiedź Lubomirskiego z dnia na dzień.

Nie siedział on w Gdańsku jak się spodziewałem, to też gońce musieli go szukać po różnych stronach, i zabawili się w czas nieskończony.

Przyznam się że po tylu próbach rwała się moja cierpliwość i chciałem już rozpuścić moją kompanię na wszystkie cztery strony świata i szukać dla siebie innej służby.

Na domiar nieszczęścia rosło coraz bardziej niezadowolenie żołnierzy, i prawie już do otwartego przychodziło z ich strony wybuchu, a winienem tylko sprężystości mojej, że jakotako zażegnałem niebezpieczeństwo.

Zagroziło mi ono najbardziej pod miasteczkiem Opatowem. Mieszczanie tamtejsi obowiązali się dostarczyć żywności i zapłacić

45 zł. gotówką, jeśli ochronię ich od przechodu.

Zgodziwszy się na tę propozycyę, rozłożyłem żołnierzy moich w jednej z wsi pobliskich, a sam udałem się do miasteczka po przeznaczone wykupno.

Mieszczanie widząc mię samego jednego, nie spieszyli się z dotrzymaniem słowa, musiałem więc wysłać gońca do żołnierzy i rozkazać im nadciągnąć pod miasto. Dopiero za ich zbliżeniem opamiętali się burmistrz i rajcy, i w jednej chwili dopełnili wszelkich warunków.

Zaraz też wysłałem rozkaz, aby kompania powróciła do wsi swojej, otrzymałem jednak odpowiedź, iż żołnierze nie chcą usłuchać mojego zlecenia, i wbrew mojej woli ciągną do miasta. Uniesiony gniewem, wyjechałem sam na ich spotkanie.

Cała kompania postępowała pod rozkazami porucznika Williama Guild. Jego też wziąłem za przewodnika buntu, i przykładając mu nagle pistolet do piersi, groziłem powalić go trupem.

Przestraszony Guild tłumaczył się że postąpił sobie wbrew mojemu rozkazu na żądanie całej kompanii, której nie mógł się oprzeć żadną miarą.

Obróciłem się na to do żołnierzy i oświadczyłem, że ktokolwiek z najmniejszym ozwie się oporem, nie ujdzie nieochybnej karze śmierci, a jeśli cała kompania pozostanie w nieposłuszeństwie, tedy będę musiał zawezwać pomocy Polaków i złożę dowództwo.

Po tych słowach rozkazałem wrócić za mną do wsi. Nikt nie ważył się ani mruknąć, a w ten sposób przytłumiłem grożące niebezpieczeństwo w pierwszym zarodzie.

(D. n).

Zegar ze słomy. W jednym z paryskich domów poprawczych, przebywa temi czasy pewien ośmnastoletni młodzian, skazany za złodziejstwo na pięcioletnie więzienie. Ma to być osobliwszy talent w swoim rodzaju. Od dzieciństwa objawiał on już zdumiewające zdolności do rachunków, mianowicie w zastosowywaniu ich do kombinacyj mechanicznych. Mimo zupełnego braku wszelkich potrzebnych wiadomości i narzędzi zrobił on już kilka osobliwych wynalazków, których arcydziełem i koroną mieni dziennik *Patrie* świeżo dokonany zegar ze słomy. Przed kilką dniami wszedł do celi młodego przestępcy sam dyrektor więzienia, zainteresowany ze słuchu jego szczególniejszym talentem. — „Która też godzina?“ — zapytał go po kilku słowach obojętnych młody sztukmistrz — „chciałbym uregulować mój zegarek.“ — „Jakto? masz zegarek?“ — zapytał dyrektor zdziwiony. — „Dopiero od wczoraj“ — odrzekł młodzian, pokazując z uśmiechem radości swoje arcydzieło. Jestto mały zegareczek, mający pięć centymetrów w przecięciu, sporządzony ze słomy, kilku nitek jedwabnych, jednej igły i jednej szpilki. Godziny oznaczone są na okrągłej karcie papieru, a cała maszynerya potrzebuje co trzy godzin nowego nakręcenia. Młody sztukmistrz spodziewa się z czasem ulepszyć swój wynalazek, mianowicie chciałby czas obiegu maszyneryi przydłużyć przynajmniej do dwunastu godzin.

Trwoga przed potopem świata przed trzystą laty. W pierwszych początkach szesnastego stólecia rozeszła się była po wszystkich krajach Europy niedorzeczna przepowiednia, iż w r. 1524 nastąpi jeśli nie zupełny koniec świata, tedy przynajmniej drugi powszechny potop jak za czasów Noego. Niesłychana też trwoga ogarnęła nietylko niższe warstwy ludności, ale nawet samych uczonych tamtoczesnych. Sławny astrolog *Stoffler* wydał w r. 1518 obszerną rozprawę, potwierdzającą w najdobitniejszy sposób potop przepowiedziany. Przytoczył przytem tyle niezbitych dowodów i różnych przekonujących oznak astrologicznych, iż sam Karol V uległ powszechnej obawie i łatwowierności. Potrzeba było aż nowej obszernej rozprawy uczonego *Augusta Niphus*, aby uśmierzyć niepokój monarchy. *Niphus* zbijał twierdzenie *Stofflera* punkt za punktem, i starał się wszelkiemi siłami uspokoić potrwożonych. Wszakże jego rozsądne dowody nie zdołały do razu zatrzeć wiarę w niedorzeczną przepowiednię i obalić ze wszystkiem twierdzenie *Stofflera*. Najznakomitsi dostojnicy państwa trwali ciągle w trwodze bezzasadnej, a jeden z pierwszych jenerałów Karola V, hrabia Wit Rango błagał uniżenie cesarza, aby probował przynajmniej ocalić armię swoją. W tym celu radził wszystko wojsko wysłać na szczyty gór najwyższych i zaopatrzyć je tam w żywność kilkomiesięczną. Karol V nie usłuchał rady jenerała, bądźto iż zaufał szczerze Augustynowi *Niphus*, bądź iż przy zupełnej zagładzie ludzkości i najsilniejsza armia wydała mu się wcale niepotrzebną. Za toż pojedyncze osoby prywatne nie zaniechały najpocieszniejszych nieraz środków ostrożności. I tak np. prezydent parlamentu w Tuluzie *Auriol* zbudował sobie olbrzymi okręt na wzór arki Noego. Napełniony wszelkiego rodzaju żywnościami i wielą domowemi zwierzętami, spoczywał mozolnie i kosztownie zbudowany okręt na czterech wysokich słupach, aby go zaraz w pierwszej chwili nie uniosły bałwany. W wielu miejscach sprzedawali ludzie za bezcen domy i ziemskie posiadłości i uchodzili w góry z rodzinami. Nigdy też nie namnożyło sie tylu obłąkanych co w owych czasach. Wpośród tego powszechnego popłochu nadszedł wreście ostateczny termin potopu miesiąc luty r. 1524, a jakby na złość panowała na całej kuli ziemskiej jaknajpiękniejsza pogoda. Uczony *Stoffler* nie przyznał się i wtedy do błędu, dowodząc uporczywie iż zapowiedziany potop był rzeczywiście postanowiony w wyrokach boskich, ale tylko modły i skrucha ludzi przebłagały gniew nieba, i na czas niejakiś ocaliły świat od nieochybnej zguby.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*